

Na marginesie książki *Wędrujący świat*

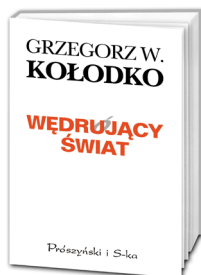
Marcin Kula

Wędrujący świat to książka wielodyscyplinarna i uwzględniająca długą perspektywę czasową. Takie najpewniej powinny być książki o rozwoju, ale nie zawsze takie są. W szczególności żałuję, że w polskiej historiografii praktycznie nie ma książek obejmujących wielki problem w długiej perspektywie czasowej, nieograniczonej do jednej epoki, a zarazem wielodyscyplinarnych.

Już z powyższego wynika, że autor nie jest wąskim ekonomistą. Podkreśla społeczny wymiar gospodarowania. Widzi, że nie wszystko sprowadza się do pieniędzy. Widzi zróżnicowanie skutków wprowadzania nowych rozwiązań technicznych. Parafrazując znane powiedzenie można skonstatować, iż autor wie, że gospodarka to sprawa zbyt poważna, by pozostawiać ją jedynie ekonomistom. Sam mówi, że o bardzo wielu sprawach, także gospodarowania, decyduje kultura. W tym sensie idzie wbrew tendencji, chyba dziś dominującej w ekonomii, do tworzenia jakoby uniwersalnych modeli z jednej strony, a sprowadzania nauczania ekonomii do uczenia technik rachunkowości itd. z drugiej.

Ponieważ nikt nie ma jednak możliwości, ażeby być nieograniczenie szerokim, zawsze można pójść – także autor mógłby pójść – jeszcze dalej w kierunku analizowania innych pól otaczającej nas rzeczywistości. Pełna zgoda z profesorem Kołodką, że „kluczowa jest rola motywacji”; że, „aby coś zrobić – wymyślać, projektować, organizować, zarządzać, produkować, dzielić, transportować, magazynować, sprzedawać, konsumować – trzeba chcieć”; że „odolne pragnienie podejmowania jakiegś ekonomicznej działalności jest dużo lepszym podłożem motywacji niż przymus narzucany z zewnątrz” (s. 311). Jednakże to najczęściej inne niż ekonomia nauki powinny powiedzieć, dlaczego nieraz owej motywacji brak. Równie ważne w naukach społecznych jest badanie systemów gospodarczych i społecznych motywujących do działania, jak i systemów antymotywacyjnych.

Omawiana książka jest antydoktrynerska. Autor wie o umownych cechach wielu naszych prawd. Wie, że słowa nieraz zaciemniają zjawiska, a nawet temu mogą służyć przede wszystkim. Patrzy na realne zjawiska, porównuje różne ścieżki dziejowe i sytuacje z różnych krajów. Sytuuje się blisko konkretów. Dla czytelnika byłoby wygodniej, gdyby część z masy powoływanych liczb została przedstawiona za pomocą wykresów i diagramów. Płynące z wielostronności tekstu bogactwo faktograficzne już i tak nawet męczy, a z pewnością nie ułatwia dyskusji.



Książka jest antydoktrynerska także w podejściu do zadań ekonomistów. Autor występuje oczywiście przeciwko planowaniu zapasów kapusty w sklepach, jak, z grubsza biorąc, czyniono w PRL. Opowiada się jednak również przeciwko dogmatycznemu liberalizmowi. Widzi różne przyczyny popularności tego kierunku, wskazuje jego korzyści dla ludzi oraz instytucji potężnych w światowych sferach finansowych. Wśród owych przyczyn można by jeszcze dodać klęskę myślenia o kierowaniu rozwojem gospodarczym, jaka nastąpiła wraz z upadkiem socjalizmu i częstym brakiem sukcesów krajów tzw. trzeciego świata. Także – brak pomysłów alternatywnych w stosunku do neoliberalizmu (jak się nie wie, dokąd łódka ma płynąć, to najlepiej uwierzyć, że sama odnajdzie kierunek, gdy się ją puści na szerokie wody).

Dałoby się również wymienić brak społecznego zaplecza dla zwiększenia roli państwa. W Polsce w 1989 r. z pewnością nie było takiego zaplecza. Można podziwiać, że państwo w ogóle nie rozleciało się przy wielkiej przemianie (to był jeden z pozytywów Okrągłego Stołu!). Nie było jednak wówczas takiej siły, która by uczyniła z ówczesnego polskiego państwa korektora procesów gospodarczych oraz aktora polityki społecznej. Przecież nawet „Solidarność” nie protestowała przeciwko potencjalnym negatywom przyjętych rozwiązań – a gdyby protestowała, to musiałaby bronić bezproduktywnych, wielkich zakładów, gdzie funkcjonowała jej baza.

Skoro nie podoba nam się bezgraniczny liberalizm, to trzeba jednak pomyśleć o pożądanym rozwiązaniu instytucjonalnym, które z jednej strony nie byłoby autorytarnymi rządami technokratów, zresztą łatwo mylących się w swoich rozwiązaniach, a z drugiej populizmem, czyli istotnym niebezpieczeństwem w krajach po-autorytarnych. Na dodatek jakieś grupy społeczne musiałyby jeszcze takie rozwiązanie poprzeć. Zgadzam się, że potrzebna jest nam wolność gospodarcza oraz, jednocześnie, silne państwo. Jak je jednak wzmocnić? Skądinąd nie jest ideałem stworzenie silnego państwa jako wyalienowanej struktury, która musiałaby być rządzona przez biurokrację państwową. Poza wszystkim trochę to przypominałoby model hitlerowski (szeroka wolność dla przedsiębiorców!) albo model niektórych krajów mniej rozwiniętych, gdzie owa biurokracja państwowa często zresztą wchodzi w patologiczną symbiozę z kapitałem.

Zgoda, że kapitał wyrwał się spod kontroli, uległ najdalej posuniętej globalizacji, a wielkie instytucje finansowe stały się ważniejsze niż państwa. W tym zresztą okazuje się tkwić jedna z największych pomyłek Marksa: zjednoczył się kapitał, a nie robotnicy, państwo zaś nie stało się ramieniem panowania klasowego miejscowej burżuazji. Pytanie wszakże, czym ma być to państwo wobec procesów globalizacyjnych, z globalizacją kapitału na czele? Problem jest związany z kwestią przyszłości narodów w globalizującym się świecie. Jesteśmy przyzwyczajeni do idei państwa narodowego – choć większość państw nie jest chyba dziś państwami jednonarodowymi (pomińmy już definicję narodu i tego, co znaczy państwo narodowe!). Otóż wydaje mi się, że właśnie w globalizującym się świecie narody nie znikną, bowiem *będą potrzebne jako koszule bliskie ciału*. Decyzje w zasadniczych sprawach będą podejmowane poza państwem. Poza wszystkim, jak już zauważono w naukach społecznych, państwo staje się za duże, by rozwiązywać problemy małe, a zbyt małe, by rozwiązywać problemy duże. No i w ten sposób państwo może pozostać przede wszystkim jako forma duchowego życia narodu, akurat przeciwnie niż przewidywali marksiści (według nich państwo miało pozostać administratorem rzeczy). Jak w tej sytuacji uczynić, by państwo zajmowało się jednak w mniejszym stopniu, dajmy na to, „polityką historyczną”, a bardziej harmonizacją sprzecznych interesów grupowych, choćby miało to następować w warunkach w znacznym stopniu dyktowanych przez czynniki zewnętrzne?

Niezależnie od wszystkiego, pewną rolę w kwestii istnienia państw odgrywają czynniki zastane – raz dla czegoś stworzone, ale dziś występujące jako dane. Autor zadaje ciekawe pytanie, dlaczego kolonie angielskie w Ameryce zjednoczyły się i później nie rozleciały się, podczas gdy Bolivar w Ameryce hiszpańskiej umierał ze słowami „orałem morze”? Na takie pytanie można dawać tyleż odpowiedź odwołującą się do czynników tak głębszych, jak i do przypadkowych. Pozostaje faktem, że tak już się stało, a zarówno rozpad Stanów Zjednoczonych, jak i zjednoczenie Ameryki kiedyś hiszpańskiej, jest dziś niezwykle mało prawdopodobne.

Można się zastanawiać, jaki wpływ wywrze globalizacja na instytucję państwa. Jednocześnie na skutek od dawna, w coraz większym stopniu następującego powiązania świata

i rozprzestrzeniania się europejskich wzorców, na całym świecie rozpowszechnił się koncept narodu, a jego elementem jest posiadanie przez naród państwa. Dziś poniekąd ten sam czynnik globalizacji działa może inaczej, ale pewien stan rzeczy jest już stworzony, zaś odwrót od niego byłby bardzo trudny. Analogicznie rozpowszechnianie się pewnych wzorów dziś, silniejsze i szybsze właśnie dzięki globalizacji, a zwłaszcza dzięki współczesnym środkom porozumiewania się i komunikacji, powoduje, że mało która społeczność pogodzi się z perspektywą biedniejszego życia – nawet jeśli w oczywisty sposób nie będzie miała szans na jego poprawę.

* * *

Autor słusznie przestrzega przed przewidywaniem przyszłości ze zbyt dużą pewnością, zwłaszcza przez ekstrapolację dotychczasowych tendencji. Można wzmocnić jego rozważania obserwacją przyspieszania się zmienności w czasie, co jeszcze bardziej osłabia przewidywania. Nasz „horyzont czasowy” przybliżył się do nas – czego nie odmieniła ani rzekomo „tysiącletnia” Rzesza, ani rzekomo „najbardziej przoduujący” ustrój, mające ambicje wieczności. Ani autor, ani my jako czytelnicy nie wiemy, jaka będzie choć nieco odleglejsza od nas przyszłość.

Generalnie mówiłbym „nie wiemy” jeszcze częściej, niż to czyni autor. Powiedzmy sobie szczerze, że nie wiemy, dlaczego różne cywilizacje bywały potężne, a w naszych czasach nasza i tereny przez nas zamieszkałe zdobyły dominację nad światem – też zresztą prawdopodobnie jedynie czasowo. Klimat nie tłumaczy wiele, bowiem miejsca o klimacie umiarkowanym są liczne. Autor słusznie zauważa zresztą, że waga czynnika klimatu zmienia się w dziejach. Elementy demokracji, możliwości krytycznego myślenia (ku czemu zdaje się skłaniać autor) – tłumaczą więcej. W swoim czasie to w Europie można było mówić o zróżnicowaniu autorytetów (oddzielenie świeckiego i religijnego) bardziej niż gdzie indziej, ale to tylko odsuwa pytanie ku dalszym zagadnieniom (skąd to zróżnicowanie?).

Może zresztą odpowiedzi–klucza nie ma. Może nauki społeczne muszą odejść od nadziei na wielkie teorie, a zadowolić się typem wyjaśnień najczęściej stosowanym w historii jako dyscyplinie badawczej: stało się tak, jak się stało, bo się stało (bowiem zadziałały jakieś czynniki z przypadkami włącznie); to zaś, co się stało, stworzyło przesłankę dla dalszego stawania się, itd. Myślę, że takie podejście nie musi zresztą wykluczać głębszego. Prawdą jest zarówno to, że Związek Radziecki był potężnie podminowany na skutek swojej struktury i długofalowych tendencji, jak i to, że, jak trafnie zauważa autor, mógł jeszcze jakiś czas trwać przy trochę innym ułożeniu się doraźnych okoliczności. Oczywiście najciekawszym pytaniem z zakresu historii alternatywnej jest to, czy mógł być się zreformować w kierunku jakkolwiek rozumianej efektywności działania? Otóż sądzę, że nie – dla przyczyn mniej okazjonalnych, tych głębszych, zwłaszcza dotyczących samej KPZR i struktury władzy, które należałoby badać na pograniczu nauk. Oczywiście porównanie z ewolucją ChRL byłoby tu bardzo instruktywne. Myślę, że należałoby wziąć pod uwagę tradycję władzy w Chinach, tamtejszy nacjonalizm i tradycję elitaryzmu w Chinach, których nie rozbił chiński komunizm. Obawiam się, że w Rosji jedyną taką trwałą strukturą była (jest?) post-KGB, bowiem nawet armia okazuje się relatywnie słaba jako kościec państwa.

* * *

Autor szczęśliwie rozróżnia rozwój i wzrost. Słusznie nie wierzy w stosowalność uniwersalnych modeli, od Alaski do Ziemi Ognistej i od Władywostoku do Władywostoku – dookoła Ziemi. Oczywiście istnieje jedność rodzaju ludzkiego, i z tego powodu istnieją pewne prawdy uniwersalne – ale trzeba pamiętać o ich granicach i o tym, by nie popaść w ogólniki (człowiek musi jeść, aby żyć, itp.). Te same recepty gospodarcze stosowane, dajmy na to, w Boliwii i, dajmy na to, w Rumunii, to bełkot – chyba, że mówimy o sprawach tak ogólnych, iż trywialnych.

Co innego jest racjonalnością dla wielu z nas. Inne są jej kryteria, bowiem różne są realizowane cele. Niejeden z nas realizuje cele przeciwne maksymalizacji zysku. Czasem spoczynek w cieniu drzewa jest cenniejszy od męczenia się dla zarobienia pieniędzy. Uporczywe działania antyracjonalne (kołchozy!) też trzeba jakoś wytłumaczyć w ramach nauk społecznych. Podejrzewam zresztą, że była to „racjonalność inaczej” (realizacja celów innych już nie tylko niż maksymalizacja zysku, ale też innych niż choćby nominalny cel ustroju).

Autor bardzo słusznie mówi, iż są uproszczeniem następujące założenia funkcjonujące w ekonomii: „paradygmat maksymalizacji bogactwa jako siły napędowej gospodarki”, „twierdzenie, że racjonalność jest podstawą podejmowania decyzji gospodarczych”, oraz „przekonanie, że rynek ze swoim mechanizmem samoistnie zapewnia efektywność gospodarowania” (s. 85). Powstaje jednak w takim wypadku pytanie o naturę teorii ekonomicznej, o to, czy trzeba mówić o jednej, czy o wielu teoriach, o granice stosowalności jednej lub każdej z teorii.

* * *

Bardzo ważne jest wprowadzone w książce rozróżnienie pomiędzy nauką a wiedzą. Zastanówmy się jednak przy okazji, czy coraz powszechniejszy model uprawiania nauki i szkolnictwa nie bardziej sprzyja dziś wiedzy niż nauce, której elementem jest kwestionowanie, poszukiwanie i twórcze myślenie? Czy nie należałoby przenieść do nauki koncepcji de Tocqueville’a o wadze drobnych, twórczych działań (u de Tocqueville’a – w rozwoju Stanów Zjednoczonych!) – nawet jeśli nie da się zaprzeczyć, że niejedno epokowe odkrycie zostało zrobione indywidualnie, przez pojedynczych i rzadkich geniuszy? Czy nie należałoby też zastanowić się nad potrzebą rozpowszechnienia wiedzy, poczynając od przedszkola? Czy nie należałoby zastanowić się obecnie nad gospodarowaniem wiedzą i, choć brzmi to paradoksalnie, sposobami stosowania wiedzy? W dzisiejszej cywilizacji konsekwencje błędu wiedzy bądź złego stosowania wiedzy mogą być bardzo duże (bomba atomowa, Czarnobyl, głupie teorie społeczne).

Dla charakterystyki warstwy nauki w dyscyplinie ekonomii ciekawa jest kwestia falowania tendencji w historii myśli ekonomicznej – czemu, na miejscu autora, poświęciłbym więcej miejsca. Tendencje etatystyczne, a nawet odwoływanie się do planowania, chyba już parokrotnie wymieniały się w modzie myślenia ekonomicznego z tendencjami liberalnymi. Częste obecnie myślenie o inflacji w kategoriach czysto monetarnych występowało także dawniej (spór między strukturalistami a monetarystami w Ameryce Łacińskiej). Także sprzeciw wobec takiej koncepcji pojawiał się już dawniej (np. myślenie Michała Kaleckiego o niedostatecznej podaży podstawowych produktów jako o przyczynie inflacji, myślenie tegoż uczonego o barierach wzrostu, do którego to myślenia warto byłoby wrócić, także jego przekonanie o możliwości finansowania rozwoju z deficytu, w wypadku braku barier). Po fali myślenia o potrzebie zmniejszania wydatków, pewno znów przyjdzie fala myślenia keynesowskiego o potrzebie zwiększania popytu, jeśli bariery wzrostu nie ograniczają potencjalnej pozytywnej odpowiedzi na bodziec. Powstaje zatem pytanie, co jest naprawdę nowym myśleniem w ekonomii? – tym, które autor określa jako naukę (w odróżnieniu od wiedzy).

Można w końcu powiedzieć, że podstawowe sprawy w naukach społecznych zostały postawione już przez przysłowiowych starożytnych Greków – co nie pozostawia nam wiele miejsca w nauce. Jeśli jednak podejść do sprawy bardziej realistycznie, to myślę, że jako nowość można określić nieposłuszeństwo wobec sposobu myślenia dominującego w danym momencie. Skoro tak, to miło stwierdzić, że profesor Kołodko to kryterium spełnia.

